

PRZEGLĄD PRASY ZAGRANICZNEJ

BIULETYN INFORMACYJNY

Nr.28

październik 1980

Zdając sobie sprawę z trudności, jakie napotyka czytelnik polski, pragnący zapoznać się z poglądami prasy zachodniej, chcielibyśmy, w sposób z pewnością niepełny i z konieczności ograniczony warunkami naszej pracy, wyjść naprzeciw tym potrzebom.

REDAKCJA

Le Połnt, 1.IX.1980

ABY PRZEŻYC

Zwyciężyli władzę, ryzykując wolnością lub życiem; trzymali się spokojnie przeszło dwa tygodnie; wywalczyli prawo do strajku, co jest wspaniałym wyłomem w betonie dogmatów komunistycznych. Co za seria wyczynów!

A jednak mam uczucie, że Francuzi wahają się między podziwem a sceptycyzmem przyglądając się zdumiewającym wydarzeniom gdańskim. Znowu się szepcze, że Polacy to wielcy romantycy. Tą piosenkę Polacy znają od dawna. Ilekroć usiłują wyrwać się ze swojego nieszczęścia, cały świat uważa ich za "romantyków". Czyż to nie szaleństwo tak igrać z ogniem? Czyż nie posuwają się zbyt daleko, upojeni brawurą?

To są poważne pytania. Ale ci którzy mówią o romantyzmie nie znają historii tego kraju, jego realnej sytuacji i rodzaju wyboru, który przed nim stoi. Widziana z Paryża alternatywa jest prosta: życie - śmierć. Myśli się zawsze - oczywiście - o śmierci spektakularnej, od radzieckich czołgów. A mało kto zdaje sobie sprawę, że możliwość innej śmierci unosi się nad Polską: cichej śmierci przez uduszenie, przez znalezienie się na cmentarzu umarłych dusz.

Polacy nie szukają męczeństwa /choć taka opinia się przyjęła/ ale tak samo boją się powolnego zatrucia jak morze krwi. Tak jak tłumaczy jeden z nich w piśmie angielskim "Survey", jeżeli "moderation" ma oznaczać zgodę na to, by totalitarna biurokracja ogarnęła wszystkie aspekty życia - publiczny, zawodowy, prywatny - to równa się to narodowemu samobójstwu: nie oczekujcie, że Polska się na to samobójstwo zgodzi.

Te słowa wydadzą się przesadne, "romantyczne" tym, którzy nie podejrzewają głębi totalitarnego zła. Bo trzeba wiedzieć, że totalitaryzm nie kończy się na cenzurze i kagańcu. Nie: on fałszuje całość stosunków międzyludzkich... Według sformułowania Zinowiewa on "ześwinia" społeczeństwo, rozwijając w nim korupcję, donosicielstwo, oszustwo, podłość, tchórzostwo, nepotyzm itp. Według ankiety ogłoszonej przez "Survey", ankiety obejmującej intelektualistów wszystkich kierunków /z komunistami włącznie/ potwierdza się, że Polska ulega temu procesowi "zeświniania". Te choroby wymienione przez Zinowiewa zaczynają się mnożyć mimo moralnego oporu społeczeństwa i pancerza Kościoła. Rozumie

1981 K 65/27



się lepiej wybór, który stoi przed Polakami: albo ryzyko próby sił, żeby uzyskać margines wolności, odrobinę tlenu czy porcję odtrutki jak kto woli; albo rozpad kultury i duszy narodu. To co nazywamy "status quo" jest stanem, w którym komunizm zdobywa dalsze tereny.

Oto dowcip, który obiega Warszawę: "Czyśmy już zrealizowali socjalizm czy będzie jeszcze gorzej?". W sumie Polacy, którzy strajkują i którzy się opierają, uważają, że proces realizacji socjalizmu - niestety - nie jest zakończony, że jeszcze nie dosięgli dna. I dlatego się bronią. Powtórzmy: nie atakują - bronią się. Szukają możliwości przeżycia, szukają wąskiej ścieżki, która przeprowadzi ich między dwoma zasadzkami, dwoma rodzajami śmierci. Ale ci robotnicy bez broni i ci prześladowani intelektualiści są strasznie wymagający: chcą znacznie więcej niż polepszenia sytuacji finansowej, znacznie więcej niż niezależnych związków zawodowych i prawa do strajków. W rzeczywistości chcą odzyskać prawo bycia ludźmi.

The Guardian Weekly, 7.IX.1980

ZMIANY O TRWAŁYCH KONSEKWENCJACH

Gdańsk w 17 dni zmienił oblicze Wschodniej Europy. Bez przelewu krwi, bez rozruchów - zapamiętano tu lekcję przeszłości - rzekomo wszechmocny reżim komunistyczny, dysponujący w ostateczności całą potęgą militarną Paktu Warszawskiego, został zmuszony do ustępstwa, którego poprzysiągł nigdy nie zrobić! do uznania prawa robotników do organizowania się w wolne i niezależne związki. Przywódcy z Gdańska staną się, poprzez demokratyczne wybory, przywódcami ruchu związkowego w Polsce. Jest to wzbierająca fala. Oczywiście, Polska to we Wschodniej Europie przypadek wyjątkowy: jest silna dzięki swemu nacjonalizmowi, oddana Kościołowi katolickiemu. Ale to, że polscy robotnicy /dzięki spokojnej organizacji i upartej wytrwałości/ zdołali upokorzyć aparat państwowy, stanowi przestępstwo dla Breżniewa, Honeckera i reszty. Grupy opozycyjnych intelektualistów irytują, ale można je wziąć pod klucz /zrobiono to w Polsce pod koniec ubiegłego tygodnia/, przeciętni jednak ludzie, stanowiący trzon narodu, to zagrożenie, którego nie sposób zignorować.

Nikt zresztą ani na moment nie przypuszcza, że walka ma się ku końcowi. W naturze komunistycznych komitetów centralnych - czy to po czystce, czy przed nią - nie leży pozostawianie spraw własnemu biegowi bez ustawicznych manewrów. Gierk już raz złamał swoje obietnice. Nie ustanie i teraz w walce. Po za tym gospodarka polska znajduje się w zupełnej ruinie. Kiedy Wałęsa i jego koledzy zasiądą do stołu swobodnych, wspólnych obrad, kiedy zobaczą w odpowiednich dokumentach wysokość długów, to oni właśnie będą musieli zanieść pracownikom stoczni Lenina złe nowiny o cenach mięsa i ograniczeniach płac i narazić się na gniew swoich starych przyjaciół, którzy chcą po prostu więcej swobody wypowiedzi i więcej pieniędzy. Może przyjdzie moment, kiedy zwycięstwo okaże się obojętnym mieczem, możliwością kontrataku dla Gierka lub jego następców. Może również nadejdzie moment największego niebezpieczeństwa, kiedy zorganizowana klasa robotnicza w Polsce uzna, że to nie jakiś minister - kozioł ofiarny, nie jakiś fagas ideologiczny ponosi winę za popełnione błędy, ale sam system; system, który obiecuje postęp, ale nie potrafi tej obietnicy dotrzymać.

Bezpośrednio po zwycięstwie obawy takie będzie można jednak odsunąć na razie na dalszy plan. Wschodnioeuropejski blok komunistyczny - starczy, defensywny, zmęczony, bez tendencji do zbawczych reform - został zmuszony do tego, by w najistotniejszych dyskusjach zabrzmiął wolny głos. Rzeczywiste porozumienie mogłoby mu dać nową nadzieję i swobodę manewru, rzutowałoby na podstawowe problemy zarówno dopuszczalnego poziomu wydatków na zbrojenia, jak i pożądaną w przyszłości szerszą współpracę gospodarczą z Zachodem.

Możnaby też starać się odpowiedzieć sobie na parę kłopotliwych pytań. Czy my obecnie wspieramy gospodarkę polską w każdy dostępny nam sposób? Czy ryzykujemy gniew Związku Radzieckiego pilnując dotrzymywania

w szczegółach porozumienia z Helsinek?. To dzielni ludzie z Gdańska, obstający w ostatecznych fazach rozmów z władzami przy prawach zagwarantowanych w Helsinkach przywrócili znaczenie postrzępionemu i wyblakłemu aktowi tego porozumienia.

The Guardian Weekly, 7.IX.1980

RYSA W MONOLICIE

Stworzenie nowych, niezależnych związków zawodowych w Polsce stanowi wielki, historyczny krok w kierunku bardziej pluralistycznych form komunizmu.

W ostrożnie sformułowanym, kompromisowym porozumieniu z rządem strajkujący robotnicy Wybrzeża zgodzili się oficjalnie uznać kierowniczą rolę partii komunistycznej w politycznym życiu kraju. Albowiem chociaż nie zostały naruszone podstawy panującego w Polsce systemu monopartyjnego, sposób, w jaki ten system będzie funkcjonował, uległ głębokiemu przeobrażeniu.

Nigdy dotychczas państwo bloku radzieckiego nie przyznało prawa reprezentowania klasy robotniczej niezależnej organizacji. Nawet w Jugosławii, w jej swoistym systemie samorządu robotniczego, związki zawodowe pozostają stale pod kontrolą partii komunistycznej.

Dawne, zdominowane przez komunistów związki zawodowe będą oczywiście istnieć nadal; jest nawet przewidziana współpraca obu ruchów związkowych. Władze polskie wykonały salto ideologiczne najpierw odrzucając a potem przyjmując koncepcję niezależnych, samorządnych związków zawodowych; sytuacja jest jednak w dalszym ciągu nie ustabilizowana. Kiedy trzy tygodnie temu został utworzony w Gdańsku pierwszy Międzyzakładowy Komitet Strajkowy reprezentujący robotników z ok. 20 zakładów, rząd odmówił pertraktacji z nim. Rzecznik rządu wyjaśnił, że komitet ten nie jest dla robotników "reprezentatywny" i że w żadnym wypadku nie może być uznany. Kiedy jednak strajki się rozszerzyły /w samym rejonie Gdańska objęły 500 zakładów/, a polska gospodarka poniosła ciężkie straty, władze zmieniły zdanie. Komisja rządowa zaczęła analizować postulaty robotnicze, podejmując oficjalne negocjacje z Międzyzakładowym Komitetem Strajkowym, nadal jednak obstawała przy tym, że nie jest możliwy żaden kompromis co do zasadniczego żądania: "wolnych" związków zawodowych. Jeszcze 28 sierpnia oficjalny organ partii "Trybuna Ludu" stał nieugięty na stanowisku, że ruchu klasy robotniczej nie wolno rozbić.

Przyczyna tych bezprecedensowych ustępstw PZPR, obejmujących oficjalne uznanie prawa do strajku, jest prosta: rzeczywiście nie było możliwe rozwiązanie sprawy strajków w żaden inny sposób. Robotnicy zażądali trwałych gwarancji, że ich interesy zostaną uwzględnione i nie zawieźli oficjalnym obietnicom daleko idących reform istniejących związków zawodowych.

Obecnie, kiedy niezależne związki oficjalnie powstały /obiecano im własną siedzibę na krańcach Gdańska/, pojawiły się praktyczne problemy włączenia ich do systemu politycznego kraju. Tekst porozumienia między rządem a strajkującymi sugeruje, że musi nastąpić znaczna decentralizacja ośrodków decyzji ekonomicznej w Polsce.

Podobnie jak większość krajów bloku radzieckiego, z wyjątkiem Węgier, Polska nadal prowadzi swą gospodarkę na podstawie planów pięcioletnich. Centralna Komisja Planowania ma na nią ogromny wpływ, ponieważ ustala plany miesięczne i roczne, które poszczególne zakłady są obowiązane wykonywać.

W porozumieniu gdańskim nowe związki zastrzegają sobie prawo wyrażania się w sprawie podziału dochodu narodowego między konsumpcję a inwestycje, w sprawie polityki płac i cen, inwestycji i długoterminowego planowania gospodarczego. Jeśli porozumienie będzie dotrzymane, doprowadzi to tym samym do znacznego ograniczenia wpływów Komisji Planowania.

Niektórzy tutejsi obserwatorzy są przekonani, że nowe związki zawodowe stanowią rodzaj historycznego kompromisu - swoisty polski styl. Termin "historyczny kompromis" został ukuty we Włoszech dla określenia

podziału władzy między komunistów a katolików. Ale ma on również zastosowanie do Polski z jej komunistycznym systemem politycznym i przeważnie katolickim społeczeństwem.

Nie ulega wątpliwości, że Kościół katolicki w Polsce wpłynął na ukształtowanie się postawy przywódców strajku w Gdańsku. Wielu z nich, nie wyłączając dwojga głównych organizatorów strajku, Lecha Wałęsy i Anny Walentynowicz, to ludzie głęboko wierzący i oczekujący inspiracji od Kościoła. Po za tym w walce o niezależne związki zawodowe ważną rolę odegrała grupa ekspertów, złożona przeważnie z intelektualistów katolickich.

To właśnie przede wszystkim dzięki sile Kościoła katolickiego Polska nigdy nie zaakceptowała monolitycznego systemu totalitarnego, narzuconego innym krajom Wschodniej Europy. I chociaż nowe związki zawodowe oczywiście nie zamierzają być tworem Kościoła /nawet apel prymasa Polski, kardynała Wyszyńskiego nie zdołał nakłonić strajkujących do powrotu do pracy/, to jednak element katolicki jest w ich powstawaniu bardzo istotny.

Wszystko to pozwala zrozumieć, dlaczego nowego polskiego modelu nie można w gotowej postaci eksportować do innych państw bloku radzieckiego. Napięcia ekonomiczne i społeczne, które tego lata doprowadziły do przewrotu w Polsce, występują tam również, choć w o wiele mniejszym zakresie, ale możliwość zmian jest niewielka.

Polska, głównie dzięki Kościołowi, miała zawsze społeczeństwo pluralistyczne. Wystarczyły dwa miesiące robotniczych niepokojów, żeby zmusić komunistyczne władze tego kraju do uznania tego faktu zarówno w teorii, jak i w praktyce.

Die Zeit, 29.VIII.1980

JUŻ ZA DŁUGO MÓWILIŚMY DO ŚCIANY

Wieczorem w sali konferencyjnej gdańskiej stoczni im. Lenina: szef partii Gierek skończył swoje telewizyjne przemówienie. Kiedy zabrzmiały pierwsze takty międzynarodówki, zerwało się z krzeseł ponad tysiąc delegatów strajkujących robotników z podniesionymi do góry dwoma palcami w kształcie litery V, symbolizującej zwycięstwo, i zaśpiewało polski hymn narodowy. Była to odpowiedź jednoznaczna.

Gierek wygłosił mowę łagodzącą. Nie piętnował już, ani nie atakował przedstawił natomiast ważką propozycję: natychmiastowe wybory przedstawicieli pracowników w tych związkach zawodowych, których członkowie życzą sobie tego - tajne i z wieloma kandydatami, ale wyłącznie w ramach istniejącej struktury związkowej.

Jedna z robotnic tak skomentowała to przemówienie: "W 1956 r. przyjęłam z entuzjazmem nominację Gomułki. Rozczarowałam się. W 1970 Gierek znowu wzbudził moje nadzieje. I znów się rozczarowałam. Dziś ufam tylko nam samym, naszej własnej sile".

Nastroj wszystkich obecnych był taki sam. Słuchali Gierka z roztrągnięciem. Chcą własnych, niezależnych związków zawodowych, jakieś siły oporu. Lech Wałęsa, przywódca ruchu strajkowego, oświadcza: "Jestem działaczem związkowym, polityka mnie nie interesuje, zmiany personalne także, zresztą nie znam tych ludzi. Chcemy, żeby spełniono nasze żądania tworzenia wolnych związków zawodowych i jest nam obojętne, kto na ten temat będzie z nami pertraktował".

Robotnicy nie są przeciwni partii. Problem leży głębiej: nikt się już nie interesuje partią, nikt już od niej nie oczekuje niczego. Zapowiedziane przez Gierka zmiany personalne mają jasne znaczenie: zwolnienie elastyczności odnieśli zwycięstwo nad przedstawicielami inercji. Przesunięcia są istotne: wymieniono jedną trzecią Biura Politycznego. Wystarczy wymienić dwa nazwiska: dymisję otrzymał Jerzy Łukasiewicz, ortodoksyjny szef propagandy, nominację - Stefan Olszowski, który na lutym zjeździe partii z powodu swojego zapaku reformatorskiego musiał ustąpić. Obydwa te nazwiska to symbole.

Właściwie godzina rozstania wybiła już w ostatni piątek, kiedy rząd uznał reprezentatywność Komitetu Strajkowego i zaakceptował negocjacje. Jak ostatecznie do tego doszło nie jest jeszcze jasne w szczegółach. W czwartek wieczorem wicepremier Jagielski przyjął trzech przedstawicieli Komitetu Strajkowego. Po godzinie trzej delegaci oświadczyli, że początek był bardzo dobry: uzyskali wznowienie połączeń telefonicznych z Gdańskiem. Jagielski domagał się ze swej strony, żeby pracownicy komunikacji bezzwłocznie powrócili do pracy.

Każda ze stron żądała od przeciwniej gestu dobrej woli - gestu, który nie przychodzi łatwo. Trzej delegaci wsiedli do samochodu. Przy bramie stoczni zatrzymała ich kontrola milicyjna, ale po interwencji przedstawicieli władz wojewódzkich, milicjanci ustąpili bez dyskusji. Brama stoczni się otwiera, zgromadzeni robotnicy słyszą okrzyk "Zwycięstwo!" i wybucha gorący entuzjazm.

W Gdańsku zaczyna się długie posiedzenie robotniczego prezydium. O tej godzinie Warszawa zasypia po ciężkim dniu. Stolica przeżyła szalejącą poprzedniej nocy burzę, drzewa są powyrywane z korzeniami, słupy oświetleniowe pogięte. Przed stacjami benzynowymi potworzyły się kilkusetmetrowe kolejki, krążą najbardziej nieprawdopodobne wieści, sklepy świecą pustkami. W piątek rano o 9-ej tramwaje stoją dobry kwadrans przed gmachem Komitetu Centralnego partii i wstrzymują ruch uliczny. Pasażerowie promieniają. Nie, oni nie strajkują, ani nie demonstrują, natomiast w odpowiednim miejscu dają spokojnie, lecz wyraźnie do zrozumienia, że również i oni chcą, żeby się coś zmieniło.

Tuż przed południem episkopat ogłasza krótki i wieloznaczny komunikat. Podaje się do wiadomości, że biskup Kaczmarek wyraził wobec członków Komitetu Strajkowego "swoje zrozumienie dla robotników, żądających polepszenia warunków życia i poszanowania praw człowieka." Jedni zapewniają, że to wyraźne poparcie ruchu strajkowego, inni zaprzeczają temu, bo przecież biskup "wskazał na to, że przedłużające się przerwy w pracy grożą zamieszkami i przelewem krwi wbrew interesom narodu".

Wczesnym popołudniem pojawia się pogłoska, że zastrajkowały zakłady im. Róży Luksemburg. Pogłoska okazuje się fałszywa. Nowa wiadomość: w Szczecinie, drugim co do wielkości porcie bałtyckim, od wtorku trwa strajk. Ze strajkującymi pertraktuje wicepremier Barcikowski. Ta wiadomość również zostaje oficjalnie zdementowana, choć takie pertraktacje rzeczywiście się toczą.

Czy otwiera się droga wyjścia? Barcikowski odpowiada odmownie na 37 żądań, które mu przedłożono, m.in. na żądanie uwolnienia więźniów politycznych. Przywrócenie połączeń z Gdańskiem? Nie wchodzi w rachubę /później zostało to jednak zrealizowane/. Dostęp Kościoła do środków masowego przekazu? Zrezygnujcie z tego. Wyższe płace? Z pewnością nie będzie dużej poprawy. Tablica pamiątkowa dla ofiar grudnia 1970? Może, w każdym razie na cmentarzu, nie przy stoczni. Opublikowanie żądań w prasie? Można będzie opublikować wyniki rozmów, jeżeli sprawy posuną się tak daleko. Wolne związki zawodowe? Nie, ale funkcjonowanie oficjalnych związków zostanie zreformowane.

Po południu: niektórzy z zatrzymanych przed dwoma dniami opozycjonistów zostali zwolnieni po 48 godzinach aresztu. Inni, przede wszystkim Jacek Kuroń i Adam Michnik, pozostają w areszcie, tzn. zwalnia się ich o godz. 14-ej, żeby od razu na ulicy znowu ich aresztować. W ten sposób mogą siedzieć następne dwa dni bez oficjalnego oskarżenia.

A wszystko to toczy się wśród coraz głośniejszych pogłosek, że KC zbierze się z końcem tygodnia. Jedni członkowie KC zaprzeczają temu, inni to potwierdzają. Przedstawiciele aparatu partyjnego są wytrąceni z równowagi: kierownictwo nie nakreśliło żadnej wyraźnej linii politycznej. "Expres Wieczorny" informuje o debatach w fabryce Swierczewskiego. Jeden z uczestników mówi: "Dyskutujemy i dyskutujemy, ale rzeczywiste decyzje podejmą ci na górze. Dość już długo gadaliśmy do ściany... Robotnik daje z siebie wszystko, więc ma prawo wymagać, żeby i rząd dobrze pracował. Mówi się nam teraz, że rząd popełniał błędy. Kto nam zagwarantuje, że ludzie, którzy są za nie odpowiedzialni, wprowadzą znowu porządek?"

W sobotę o 14-ej do stoczni gdańskiej przybył wojewoda, żeby przy-

gotować wieczorny przyjazd wicepremiera Jagielskiego. Lech Wałęsa - rzecznik robotników - przyjął go uprzejmie. "Ten strajk musi się skończyć" - mówi wojewoda. Wałęsa długo na niego patrzy i odpowiada: "Musiałby się skończyć już dawno". Później, kiedy Wałęsa o oświadczył delegatom, że wszystko poszło dobrze, wybuchł szalony entuzjazm. Dokonano tego, co nie było możliwe w żadnym kraju komunistycznym: rząd podjął negocjacje z autentycznym przedstawicielstwem robotników. Kiedy wieczorem przyjechał autokar z dziesięcioma ministrami i wyższymi urzędnikami, słyszano się chóralne okrzyki: "Wałęsa! Wałęsa!". Punkt po punkcie rozważano postulaty robotnicze. Obie strony rozeszły się z zapowiedzią spotkania się ponownie w poniedziałek. Kiedy Jagielski odjeżdżał wraz z towarzyszącymi mu osobami, strajkujący śpiewali hymn narodowy, trzymając w ręku hełmy lub czapki. Pewien młody robotnik tak się wyraził o prowadzeniu rozmów przez Jagielskiego: "On nic nie kapuje. Ma nas za durniów, których łatwo wyprowadzić w pole. Zapomina, że mamy doświadczenia z 1956 i 1970 i 1976 roku. Ale to nic. Kiedyś nas zrozumieją."

W środku nocy u wielu znanych intelektualistów warszawskich dzwoni telefon: "Jest dla pana bilet lotniczy do Gdańska". Są to bez wyjątku umiarkowani opozycjoniści. Dwaj z nich już w sobotę wieczorem przyjechali do gdańskiej stoczni i zaproponowali robotnikom pomoc w rozmowach. Propozycja została przyjęta - i to z entuzjazmem. Zostali natychmiast nazwani "panami ekspertami" nie ironicznie, ale z całym szacunkiem.

"Eksperci" obradują całą niedzielę, wykładają teksty żądań, przygotowują dokumentację, dyskutują z prezydium Komitetu Strajkowego. Kiedy przybyli nowi intelektualiści - krytycy reżimu - nazwano ich "doradcami ekspertów". Jedni z nich sądzili, że natychmiast nastąpi interwencja radziecka, inni nie byli tak pesymistyczni.

Mszę niedzielą odprawiono pod gołym niebem przed stoczną. Ksiądz odczytał list gdańskiego biskupa, ogłoszony również we wszystkich kościołach. Tym razem Kościół opowiedział się całkowicie po stronie strajkujących. W liście swym biskup pisał m.in.: "Zawsze rozumiałem wasz ból i wasze cierpienia. Rozumiem także, że macie prawo mówić o tym, co wam dokucza. Wiele razy wypowiadałem ten pogląd w rozmowie z władzami. Ale wszystko musi się odbywać w atmosferze wzajemnego zrozumienia i godności, a nie w atmosferze nienawiści."

Przed zebraniem delegatów Komitetu Strajkowego jeden z wpływowych członków prezydium powiedział: "Stworzymy tu prawo dla przyszłych pokoleń". Czy ta nadzieja jest realna? Zdecyduje o tym wzajemny stosunek sił i polityczna zręczność. W centrum uwagi znajduje się pytanie, na które brak dotąd odpowiedzi! czy niezależne związki obalą podstawy ustroju socjalistycznego?

Od soboty prasa zmieniała ton, jest elastyczniejsza, mniej dogmatyczna. Pod wrażeniem wielkiej debaty zmieniała się cała Polska. Dzięki politycznej dojrzałości narodu polskiego jest możliwe, że robotnicy uzyskają postulowane prawa i nie należy się obawiać, że równowaga europejska zostanie zachwiana.

The Guardian Weekly, 7.IX.1980

STRAJKI ZMIENIAJĄ NIEODWRACALNIE ŻYCIE W POLSCE

Polski dziennikarz, patrząc na salę konferencyjną stoczni im. Lenina zatłoczoną delegatami strajkujących z 300 zakładów, nie przestawał powtarzać raz po raz: "Nigdy nie nysłałem, że zobaczę w Polsce taką scenę". Przez ostatnie dwa tygodnie wiele z tego, co dotychczas w Polsce było nie do pomyślenia, stało się możliwe. Te niezwykle fakty - konflikt nieskrępowane, swobodne przemówienia, jedność i dyscyplina strajkujących - stanowią probierz tej zmiany.

Ruch niezależnych związków zawodowych rozpoczął się od rozproszonych grup działaczy opozycyjnych i urosł do rozmiarów, które trzeba określić mianem ogromnej i sprawnie działającej organizacji masowej. Stała się ona tak wielka, że trudno sobie wyobrazić zgniecenie jej siłą

lub rozwiązanie na drodze łagodnej perswazji.

Dwa tygodnie temu 37-letni Lech Wałęsa był bezrobotnym elektrykiem, nękanym przez milicję z powodu swej działalności dysydenckiej i walczącym o utrzymanie dla żony i sześciorga dzieci. Kiedy mu doniesiono o protestach w stoczni Lenina przeciw zwolnieniu z pracy Anny Walentynowicz, działającej również w niezależnym ruchu związkowym, przedostał się przez mur i zaczął organizować robotników. Dziś jest rzeczywistym przywódcą setek tysięcy strajkujących na Wybrzeżu. Gdziekolwiek się w stoczni pojawi jego krępa postać z sumiastymi włosami, witają ją oklaski i śpiewy. Kiedy się zbliża do podium, jego straż przyboczna usuwa z drogi reporterów. Gestem zaciśniętej pięści pozdrawia przedstawicieli zagranicznych związków zawodowych, swoim zachrypniętym głosem stawia zarzuty ministrom i wysokim funkcjonariuszom partyjnym. Dzieje Wałęsy - dotąd jeszcze, jak pierwszego dnia strajku, nosi to samo zniszczone szare ubranie - są miernikiem tempa wydarzeń w Polsce. Jest nim także pierwszy transparent, którym powiewali protestujący robotnicy stoczni Lenina, kiedy się domagali jedynie powrotu do pracy Anny Walentynowicz i tysiąca złotych podwyżki - zapomniano o nim, stoi przy głównym wejściu oparty o buldożer, podarł go wiejący od morza wiatr.

Strajkujący potrafiliby zorganizować własny sekretariat, bufet, biuro informacyjne i "wolną prasę stoczni gdańskiej". Starannie wydany czterostronicowy biuletyn strajkowy "Solidarność" ukazuje się codziennie. Już na początku ubiegłego tygodnia zamieszczono w nim sensacyjny tekst: miał to być list funkcjonariuszy partyjnych Gdańska do Komitetu Centralnego w Warszawie. W liście tym, datowanym o kilka dni wcześniej, aktywiści partyjni skarżą się, że ich usiłowania, by rozmawiać z poszczególnymi grupami strajkujących nie dały żadnego rezultatu. Dają w nim również wyraz niepokojowi, że strajkujący wywierają negatywny wpływ na kształtowanie postaw młodzieży.

"Solidarność" opublikowała także dowcipy, dające pojęcie o robotniczych pretensjach. Jeden z nich nosi tytuł "Polski przepis": "Weź składniki deficytowe, dodaj trochę soli, dobrze wymieszaj z czymś, czego chwilowo brak w sprzedaży. Dodaj to, na co nie możemy sobie pozwolić. Mie szankę tę można smażyć, piec w piecu lub na ruszcie". A dalej bardziej sarkastycznie: "Tę potrawę jemy tu wszyscy. Starczy jej zawsze dla każdego. To właśnie stanowi polski cud gospodarczy."

Oficjalne negocjacje odbywają się w małej przeszklonej salce obok głównej sali konferencyjnej stoczni. Kamery zachodniej telewizji terkoczą za szybami. Obie strony siedzą naprzeciw siebie: wicepremier Jagielski naprzeciw Wałęsy, obok nich - ich doradcy. W skład Komitetu Strajkowego wchodzi siedmioosobowa grupa "ekspertów", przeważnie katolickich intelektualistów, którzy radzili robotnikom skupić się na żądaniu wolnych związków zawodowych. Dziennikarzom zagranicznym, także z telewizji, pozostawia się prawie całkowita swoboda chodzenia gdzie chcą i filmowania tego, co chcą. Główny problem dla prasy stanowią połączenia telefoniczne i teleksowe, jak dotąd trudno osiągalne, choć rząd twierdzi, że zostały przywrócone. Korespondenci, aby przekazać dłuższe teksty, muszą krążyć między Gdańskiem a Warszawą w małych helikopterach konstrukcji radzieckiej, używanych przez Polskie Linie Lotnicze LOT do usług krajowych.

Sprawozdania z rozmów przedostawały się do środków masowego przekazu w dziwny sposób, bo nawet przy udziale ocenzurowanej prasy polskiej Strajkujący domagali się podawania przez lokalne rozgłośnie radiowe do kładnych relacji z obrad i władze się na to zgodziły.

Sympatycy strajkujących w Gdańsku zorganizowali "służbę przekładową" - tłumacze noszą czerwone opaski.

Jeden z delegatów twierdzi, że reprezentuje 2500 robotników miejscowego przedsiębiorstwa budowlanego, inny międzymiastowe przedsiębiorstwo autobusowe. Obaj wyrażają zdumienie, że wypadki potoczyły się w ten sposób i mówią, że ich zakłady niewątpliwie nie zdecydowałyby się na strajk, gdyby nie wskazała im drogi stocznia im. Lenina z jej szesnastoma tysiącami robotników.

Zapytałem, czy się boją. "Czego? - odpowiedzieli śmiejąc się z py-

tania - Czy może Rosjan? Po pierwsze, nie daliśmy im powodów do interwencji. Nie jesteśmy przeciw socjalizmowi. Po drugie mają dość własnych problemów."

Mówiliśmy o rozruchach robotniczych w grudniu 1970 r., kiedy milicja zabiła na ulicach Gdańska co najmniej 55 osób. Delegat - człowiek w średnim wieku - wyjaśnia: "Rok 1970 to była pouczająca lekcja. Robotnicy urządzili wtedy uliczną demonstrację, co dało władzom pretekst do użycia siły. Teraz zorganizowaliśmy się lepiej: pozostaliśmy w zakładach i jest nas więcej."

Pewien zawodowy rzeźbiarz wykonał projekt pomnika ku pamięci zabitych w 1970 r. robotników. Jest to jedno z żądań strajkujących, już w zasadzie przyjęte przez władze. Zgodnie z projektem, który obiegł już całą stocznię, pomnik będzie się składał z trzech olbrzymich, wysokich krzyży. Na szczycie każdego z nich jest kotwica symbolizująca zniweczone w przeszłości nadzieje na polityczne i gospodarcze reformy. W dole - wielki płomień - symbol wiecznego polskiego optymizmu.

Podobnie jak makietę pomnika ambicje strajkujących rosną z dnia na dzień. I można się zastanawiać, co się okaże trwalszym symbolem obecnych polskich zmagania: wznoszące się ku górze krzyże czy olbrzymie kotwice?

The Sunday Times, 7.IX.1980 r.

CZŁOWIEK, KTÓRY WSTRZASNAŁ FUNDAMENTAMI SYSTEMU - SYLWETKA LECHA WAŁĘSY

Kariery rewolucjonistów mają trzy wyraźne stadia: z początku nieznaną działacza pracujący bez rozgłosu dla sprawy, następnie sławny buntownik z nagłówków gazet, wreszcie wpływowy polityk dysponujący własnym aparatem biurowym. 37-letni Lech Wałęsa przeszedł przez wszystkie te stadia w niecały miesiąc.

Szybkość, z jaką Wałęsa z bezrobotnego elektryka stał się bohaterem gdańskiego strajku i znakomitością światowych publikatorów, zdumiała wszystkich, nie wyłączając jego samego. Świadczy to o tempie polskiej "rewolucji proletariackiej" /przypadkowe określenie przedstawiciela polskiego rządu/.

Jako działacz i przywódca strajku Wałęsa wykazał wielkie zdolności. Zarówno jego zwolennicy jak i przeciwnicy stwierdzają zgodnie, że 18-dniowy strajk w stoczni Lenina nie doprowadziłby do żadnych rezultatów gdyby nie jego kierownictwo. Teraz jednak, kiedy się ziściło marzenie Wałęsy o niezależnych związkach zawodowych - pierwszych, jakie kiedykolwiek powstały w bloku radzieckim - musi on wykazać w sytuacji znacznego zamętu politycznego, jaka powstała wskutek usunięcia Gierka, umiejętności całkiem innego rodzaju.

Jego zapał jako przywódcy masowej rewolty jeszcze nie wygasł. Kiedy Wałęsa pojawia się na zebraniu nowych związków, tłumy wyśpiewują jego zdrobniałe imię: "Leszek! Leszek!". Kiedy idzie ulicą stale otaczają go ludzie, żeby dostać autograf lub uścisnąć jego rękę. W jego kościele parafialnym ludzie modlą się za niego "żeby nas doprowadził do wolności".

Wywiad z Wałęsą w siedzibie nowych związków wygląda dość dziwnie. Odbywa się w wielkim mieszkaniu po specjaliście od chorób wenerycznych lekarzu, który uciekł do Niemiec Zachodnich. Czas jest ograniczony do 5 minut i jeden z pomocników Wałęsy głośno liczy upływające minuty. Pytania o to, jak zorganizować strajk są zabronione. Ale można pytać o co innego i uzyskuje się odpowiedzi, np.

- Jakiej pomocy potrzebuje pan od zagranicy?

- Potrzebujemy wszystkiego. Jak pan widzi nie mamy niczego prócz tych brudnych ścian. Potrzeba nam krzeseł, stołów, telefonów. A przede wszystkim powielaczy, maszyn do pisania, papieru. Pieniądzy także, ale to mniejszy problem. Powinien pan zrobić koło tego trochę szumu".

W końcu szybko wstaje i wychodzi jak szef kowbojów w westernie - za nim pół pokoju.

Decyzja Wałęsy, żeby tę prostą wiadomość przekazać gromadzie dzie-

nnikarzy dobijających się u niego o wywiad, świadczy w niewielkim tylko stopniu o umiejętnościach, które wykazał podczas strajku. Zrozumiał wówczas, że walka toczy się na różnych płaszczyznach i zmieniał taktykę, nawet ton głosu, żeby się dostosować do różnego typu audytoriów.

Dziennikarz polski, który uważnie obserwował Wałęsę w czasie całego 18-dniowego strajku w stoczni stwierdza z podziwem! "Zachowywał się jak prawdziwy mąż stanu. Podczas rozmów z przedstawicielami władz był spokojny i rzeczowy. Wobec tłumów na zewnątrz stawał się demagogiczny, ale panował nad nimi. To panowanie nad zwolennikami okazało się decydujące we wszystkich punktach zwrotnych. Na początku, kiedy się przekonał, że nie ustają chaotyczne protesty przeciw zwolnieniu z pracy Anny Walentynowicz, starszej kobiety obsługującej dźwig, przedostał się przez mur stoczni i zaczął organizować robotników. W kilka godzin strajkujący zestawili listę najważniejszych żądań ekonomicznych.

Trzeciego dnia strajku, w sobotę 16 sierpnia, Wałęsa nagle zmienił swój pogląd, co przekształciło strajk okupacyjny w rewoltę narodową. Osiągnięto na korzystnych warunkach porozumienie z dyrekcją stoczni co do podjęcia pracy. Decyzja ta jednak spotkała się z niezadowoleniem strajkujących w innych zakładach, którzy obawiali się, że brak poparcia szesnastu tysięcy stoczniowców osłabi ich pozycję w pertraktacjach. Wałęsa przekonał stoczniowców, by nie łamali solidarności - i tak się zaczął niezależny ruch związkowy.

Jeden z delegatów mówi! "To właśnie wtedy Wałęsa pokazał swoją wielkość. Nie myślał tylko o korzyściach dla robotników stoczni, ale o wszystkich polskich robotnikach. Ten ruch stał się w końcu ruchem odnowy całego niesprawnego systemu. Właściwie każdy Polak popiera te 21 żądań".

Pod koniec strajku Wałęsa wykazał mądrość polityczną, polegającą na wyczuciu granic tego, co możliwe. Ludzie stanowiący trzon komitetu byli niepokieszeni z powodu warunku, które nowe związki musiały zaakceptować: chodziło o uznanie kierowniczej roli PZPR w systemie politycznym kraju. Przez kilka godzin wydawało się, że kompromis nie dojdzie do skutku.

Władze na gwałt potrzebowały jakiejś formuły, któraby im pozwoliła zachować twarz i przekonała Rosjan, że podstawy monopartyjnego państwa nie zostaną naruszone. Wałęsa uratował w tym dniu sytuację wygłaszając porywające przemówienie do całego Komitetu Strajkowego, w którym domagał się, by w sprawach dotyczących rozwoju przemysłu nikt nie kierował nowymi związkami.

Wałęsa nie pojawił się oczywiście z dziś na jutro jako genialny przywódca strajku. Jak wszyscy polscy robotnicy otrzymał pożyteczną lekcję podczas dwu pierwszych rozruchów robotniczych - w r. 1970 i 1976. Te właśnie doświadczenia przekonały go, że tylko utworzenie niezależnych związków zawodowych może stanowić nadzieję na trwałe rozwiązanie polskich problemów.

W grudniu 1970, kiedy gdańscy robotnicy zbuntowali się po raz pierwszy, Wałęsa pracował od dziewięciu lat w stoczni Lenina. Urodzony podczas wojny, pod okupacją niemiecką, wzrastał w powojennych latach nadziei i rozczarowań. Ustrój komunistyczny jest jedynym, który zna. Ale jego rodzice, jak większość Polaków, byli gorliwymi katolikami. Religijne wychowanie nadało nowy wymiar jego życiu duchowemu, co - jak z naciskiem podkreśla - okazało się decydujące podczas strajku.

Rozruchy robotnicze w Gdańsku przed dziesięcioma laty ich uczestnicy określają jako "wybuch nieopanowanej wściekłości". Kiedy miejscowy sekretarz partii odmówił strajkującym przyjęcia, wylegli na ulice. Milicja zaczęła strzelać do tłumu i, według oficjalnych danych, zabiła 55 osób. W grudniu 1970 r. Gomułka został zmuszony do rezygnacji. Zastąpił go Gierek. Niepokoje w Gdańsku trwały wówczas zaledwie cztery dni, nie było więc czasu, żeby się zorganizować. Ale już wówczas wyłonili się przywódcy.

Zachęcony obietnicami Gierka /samorząd, lepsze warunki życia/ Wałęsa pozostał w stoczni. Z początku poprawiło się: zarobki wzrosły, było więcej towarów w sklepach i nawet przynoszące wiele szkody, opanowane przez komunistów związki zawodowe wykazywały nieco niezależności.

Ale to nagłe ożywienie gospodarcze opierało się na zagranicznych pożyczkach i w r. 1976 powróciły ograniczenia, a wraz z nimi szerzyło się niezadowolenie wśród robotników.

W lipcu tego roku w niektórych polskich miastach wybuchły rozruchy robotnicze z powodu podwyżki cen mięsa. Gdańsk nie był nimi bezpośrednio objęty, ale Wałęsa - wówczas jeszcze przedstawiciel oficjalnych związków zawodowych - zestawiał listę robotniczych pretensji. Kierownictwo chcąc się pozbyć pracownika, który mógłby się okazać niewygodny, zwolniło go z pracy.

Idea niezależnych związków zawodowych kształtowała się w ciągu ostatnich dwu lat. Nawiązano tajne kontakty z grupami dysydentów m.in. z KOR-em, który został utworzony, by bronić robotników prześladowanych po rozruchach 1976 r. W r. 1978 ruch upowszechnił się, powstał komitet wolnych związków zawodowych Wybrzeża, wśród jego członków znaleźli się Lech Wałęsa i Anna Walentynowicz.

W styczniu 1979 Wałęsę znowu usunięto, tym razem z przedsiębiorstwa budowlanego ZREMB. Tak jak w 1976 właściwą przyczyną była jego żywa działalność związkowa. Znalazł pracę w przedsiębiorstwie inżynierskim "Elektromontaż". Koledzy mówili, że Wałęsa jest "przyjacielski i rzetelny", że to "świetny pracownik". Dyrekcja także była zadowolona, uznano go oficjalnie za wyróżniającego się elektryka w przedsiębiorstwie. Jego jedyną wadą była wytrwała działalność związkowa. W grudniu ub. roku Wałęsa wziął udział w demonstracji przed stoczną Lenina poświęconej pamięci robotników zabitych w 1970 r. Zebrał się pięciotysięczny tłum, do którego przemówił w sprawie niezależnych związków zawodowych. W kilka tygodni później wylano go z "Elektromontażu", rzekomo za nieusprawiedliwione opuszczenie jednego dnia pracy.

Gościa z Zachodu, który w styczniu tego roku spotkał Wałęsę w Gdańsku uderzyła jego determinacja i poziom jego politycznej świadomości. Odmówił właśnie wyjazdu do Libii, gdzie miałby dobrze płatną pracę, by pozostać w Gdańsku. W tym czasie nie było żadnych podstaw do optymizmu. Swojemu gościowi powiedział: "Jestem pewien, że kiedyś będziemy mieli wolne związki zawodowe w naszym kraju, ale już nie za mojego życia", Całkiem niespodziewanie jego dążenia zrealizowały się znacznie wcześniej. Twierdzi jednak uparcie, że oficjalna zgoda rządu na tworzenie nowych związków, to "tylko jedna trzecia sukcesu. Możemy jeszcze zostać pokonani. Trzeba, żebyśmy stworzyli coś trwałego".

Jak wielu innych, również i ja kojarzyłem nazwiska przywódców strajku z płomiennymi przemówieniami i uczuciami rewolucyjnymi. Toteż było mi dziwnie, kiedy te same nazwiska zobaczyłem na drzwiach poszczególnych wydziałów nowych związków: Wydział Finansowy, Administracyjny, Bezpieczeństwa, Kultury itp. Na pierwszy rzut oka nowy związek to zupełny chaos. Przywieziono meble i rozpakuje się je, a wkoło toczą się nadal gorące dyskusje. Ludzie snują się po lokalu bez celu. Niektórzy gapią się na dziwne informacje rozlepione na ścianach o tym, jak zbierać wpisy do nowych związków. Wisi wielki napis: "Uśmiechnij się". Później jednak zaczyna się coś z tego wyłaniać. Organizacja biura przybiera określony kształt. Rządzi Wałęsa, ale i inni mają swoje zajęcia i przystępują do nich. Przed pokojem delegacji fabryk ustawili się w kolejce z listami członków nowych związków. W większości zakładów zapisuje się 80-100% załogi, dziesiątkując tym samym stare związki. W innym, zamkniętym pokoju znajduje się redakcja związkowego pisma "Solidarność". W głównym hallu - "skrzynka pytań i odpowiedzi". Najczęstsze pytania: "Co będzie ze składekami, które wpłacaliśmy do kas starych związków?", "Kto będzie płacił urzędnikom związkowym?", "Czy związek będzie walczył o nauczanie niezakłamaną historię w naszych szkołach?".

Wiele listów chwali Wałęsę osobiście. Pisze do niego np. cała jakaś rodzina, żeby mu "wyrazić swoją wdzięczność i szacunek za mądrą i odważną walkę o prawa człowieka".

Wałęsa przyjmuje to wszystko z wyraźną pewnością siebie. "Cieszę się oczywiście z uznania - mówi - Od samego dzieciństwa ludzie interesowali się tym, co mówię i myślę. I zawsze przyznawali mi rację."

Wałęsa niewątpliwie potrafi ukazać się ludziom jako człowiek z

ludu. Jego przeciwnik w pertraktacjach - przewodniczący Rady Narodowej Gdańska - powiedział mi z podziwem: "Jego największą siłę stanowi to, że sam jest robotnikiem". Inny urzędnik zauważył, że Wałęsa stale powtarza w swoich przemówieniach: "Nie jestem waszym panem. Proszę, uważajcie mnie za swojego sługę". I tak to skomentował: "To policzek wymierzony całemu politycznemu kierownictwu, które innym stylem posługiwało się przez te 35 lat".

Die Zeit, 29.VIII.1980 r.

TU PRZECIEŻ NIKT NAWET NIE PISNIE

"Przecież to było oczywiste, że nic z tego nie będzie" - mówi do mnie pewien mieszkaniec Turynгии usłyszawszy, że Schmidt nie zgodził się na spotkanie z Honeckerem nad jeziorem Werbellinsee. "Jak pan to sobie wyobraża? Teraz, kiedy w Polsce toczy się zacięta walka, nasz szef musiałby stanąć po stronie tych, którzy są przeciw robotnikom, a wasz oczywiście po stronie robotników. To by dopiero było miłe spotkanie!".

Choć Niemcy wschodni byli rozczarowani odmową Schmidta, jego decyzja spotkała się ze zrozumieniem. Najczęstszy komentarz: "Mamy to do zawdzięczenia Polakom". Zarówno przed odmową Schmidta, jak i potem strajki w Polsce były głównym tematem rozmów w NRD, wobec którego zbladło niepowodzenie niemieckiego spotkania na szczycie.

Niemcy z NRD z niepokojem zadają sobie przede wszystkim pytanie, co będzie, jeśli rząd polski nie zdoła opanować napiętej sytuacji. "Mamy nadzieję, że nie będziemy musieli znów się do tego mieszać, jak w Czechosłowacji. Ale jeśli Rosjanie wkroczą, nie pozostanie nam nic innego". Zaraz jednak uspokajają się: "Rosjanie przecież nie mogą sobie na to pozwolić, dopóki się nie skończyło z Afganistanem. Wtedy, za Gomułki też nic nie zrobili. W przypadku Polski napewno się od tego powstrzymają". Ktoś mówi niemal z gniewem: "Polacy sami sobie nawarzyli piwa, więc sami muszą je wypić".

Ciągle się słyszy w NRD: "Polacy sami są winni, że do tego doszło". Jedni są zdania, że przyczyn zła trzeba szukać w polskim rolnictwie. "Rolnictwo trzeba skolektywizować, tak jak u nas. Chłopi polscy pracują przecież jeszcze na poletkach nie większych niż chustka do nosa i każdy hoduje bydło tylko na własne potrzeby. To oczywiście nie może wystarczyć dla całego narodu."

Inni uważają, że Polacy za mało pracują. "W naszym zakładzie są Polacy i stale narzekają, że Niemcy to tylko pracują i pracują. Zamiłowaniem zamiłowaniem, ale tak znowu ciężko nie pracujemy. Jeżeli oni u siebie robią jeszcze mniej, to nic z tego nie może być. Z próżnego i Salomon nie należy". A jakaś kobieta mówi: "Od lat wykupują u nas wszystko, bo u siebie nie mają dosyć". Mówi to z wyższością, charakterystyczną dla wielu Niemców z NRD w stosunku do ich wschodnich sąsiadów.

Ale nie brak także i podziwu. "Polak to szczególny gatunek człowieka - nie można z nim wyprawiać co się chce. W Polsce zawsze było bardziej liberalnie niż u nas. Polak może wyjechać na Zachód, a tam zarobi tyle pieniędzy, że może sobie potem w kraju pozwolić na wspaniały samochód i dostanie życie". A młody robotnik mówi: "To, co teraz robią polscy robotnicy w Gdańsku, przydałoby się także i u nas, ale tak na pewno nie będzie. Podobno nasz rząd dlatego nie chciał przyjazdu Schmidta do Rostoku, bo się bał, że polskie strajki przeniosą się do tamtejszych zakładów. Ale to bzdura. Za wielkiego tu mają stracha. Tu przecież nikt nawet nie pisnie."

Wiadomości o odmowie kanclerza RFN i wypadkach w Polsce pochodzą z radia i telewizji zachodnioniemieckiej, mimo, że środki masowego przekazu w NRD stosunkowo dokładnie o tym informują, a SED wyraża swoje zrozumienie dla robotniczych żądań, jeżeli chodzi o zły stan gospodarki. "Można się czegoś dowiedzieć od polskiego korespondenta ARD, on zdaje relacje o wypadkach bez emocji i z poczuciem odpowiedzialności. Jemu jest napewno u nas łatwiej niż wam. Wyobraźcie sobie coś takiego: w jakimś zakładzie w NRD wybucha strajk, a zachodni dziennikarz otwarcie

wypytuje strajkujących - to nie do pomyślenia! I tak samo nie do pomyslenia jest to, żeby wschodni Niemcy robotnicy w swoich zakładach modelili się i spowiadali."

Wielu wątpi w szczęśliwe zakończenie. "To się nie może dobrze skończyć. Rząd polski w żadnym wypadku nie może się zgodzić na żądania robotników. W każdym razie nie na wolność prasy i zwolnienie dysydentów. Nie mogę sobie tego wyobrazić, jak to ma być z tymi wolnymi związkami zawodowymi. I co pomogą te zmiany na "górze"? Jeśli nawet Gierek odejdzie, to i tak długi pozostaną."

Przy całym zachwycie nad odwagą i mądrością polskich robotników Niemcy z NRD obawiają się, że mogą się oni posunąć za daleko. "Nie wiadomo przecież, czy nie ma tam także prowokatorów, którzy chcą usunąć Gierka, bo są zwolennikami ostrzejszego kursu i dolewają oliwy do ognia, żeby trzeba było interweniować. W najlepszym wypadku dojdzie wówczas do oziębienia klimatu w całym bloku wschodnim. A już najgorzej by było, gdyby wkroczył "wielki brat" - i już znowu mamy wojnę".

Nikt jednak nie uważa odmowy spotkania się dwu niemieckich szefów rządów za dowód pogorszenia się stosunków między Niemcami wschodnimi a zachodnimi. "Wręcz przeciwnie, to chyba dobrze dla odprężenia, że się tych dwóch teraz nie spotka. W chwili obecnej nic by z tego nie wyszło, a doprowadziłoby tylko do niezadowolenia obu stron. W przyszłym tygodniu zaczną się Targi Lipskie i Honecker pewnie znowu napije się szampana przy zachodniemieckim stoisku, a później są u was wybory. Jeśli ponownie wybierze Schmidt - a prawdopodobnie to zrobicie - wtedy ci dwaj z pewnością się spotkają. Jeśli nawet nie przyniesie to wielkich zmian, takich jak np. obniżenie granicy wieku przy wyjazdach do RFN, czy innych, których byśmy sobie jeszcze życzyli, to i tak istotne jest to, że w ogóle będą z sobą rozmawiać."

Newsweek, 15.IX.1980 r.

NASTEPNE POSUNIECIE KREMLA

Jeśli można się czegoś nauczyć z historii, to powrót w zeszłym tygodniu strajkujących w Polsce do pracy nie zakończył najpoważniejszego w ostatniej dekadzie kryzysu w Europie Wschodniej. Kryzys wszedł po prostu w nową i być może bardziej niebezpieczną fazę. Euforia na temat "zwycięstwa" robotników polskich i "bezprzykładnych zmian", które wymusił na systemie komunistycznym w swej ojczyźnie, może mieć równie krótki żywot jak "Praska wiosna" Aleksandra Dubczeka, zapoczątkowana w kwietniu 1968 i zmiażdżona w cztery miesiące później przez radzieckie czołgi.

Działające pod kierunkiem Leonida Breżniewa przywództwo radzieckie jest często dręcząco powolne w podejmowaniu zasadniczych decyzji. Stąd też polska moneta może nadal stać na kancie przez tygodnie lub nawet miesiące, zanim Kreml ostatecznie zdecyduje przewrócić ją. Ale wydaje mi się, że kierunek następnego posunięcia Moskwy jest już jasny. Prawie napewno Rosjanie będą popychać władze polskie do wycofywania się z potozumienia, które zakończyło strajk, stopniowo kastrując wszelkie koncesje zagrażające komunistycznej kontroli.

"Porozumienie gdańskie jest zaproszeniem do katastrofy" powiada pewien stary i doświadczony dyplomata w Moskwie. "Nigdy nie zostanie w Polsce zrealizowane tak długo, jak długo Rosjanie rządzą."

Jedno spojrzenie na naturę związków zawodowych w Związku Radzieckim ujawnia dlaczego zwykle ostrożni dyplomaci mogą wypowiadać tak stanowcze stwierdzenia. Radzieckie związki zawodowe mają niewiele wspólnego z robotniczą płacą, warunkami pracy czy prawami. Są one organami jednego w kraju pracodawcy - państwa - a ich zadaniem jest zapewnienie ścisłej dyscypliny pracy i zwalczanie problemów takich jak absencja czy pijaństwo w miejscu pracy. Związki mogą zapobiegać temu, żeby kłopotliwy pracownik dostał awans, albo zmienić pracę. Mogą zmusić go do opuszczenia stosunkowo zamożnych miast i do powrotu na zubożałą wieś. Jeśli wszystko inne zawiedzie mogą przekazać go w ręce policji. Stąd też

robotnicy radzieccy uczą się zginać kark i milczeć. Dla przywódców Kremla, zabezpieczonych kontrolą partii komunistycznej nad związkami, pojęcie oficjalnie usankcjonowanych strajków i niezależnych związków zawodowych, nabierające kształtu w Polsce, niesie ze sobą ryzyko niepokojów robotniczych, rozprzestrzeniających się po całym imperium radzieckim w Europie Wschodniej, ryzyko, które jest nie do przyjęcia.

Początkowa odpowiedź Moskwy jest łatwa do przewidzenia. Dyplomaci w Moskwie i naukowcy na Zachodzie powiadają, że Rosjanie będą teraz nalegać na rozwodnienie koncesji przyznanych dla zakończenia strajku. Taktyka, na której przyjęcie przez nowy polski rząd będą nalegać, zawierać będzie opóźnianie reform, reinterpretację zobowiązań, wykręcanie się przy ustalaniu szczegółów, izolowanie przywódców strajków na Wybrzeżu, infiltrację organizacji związkowych, żądanie ściślejszych więzów z partią komunistyczną, odrodzenie cenzury i ograniczenie dostępu Kościoła do środków przekazu. Krytycyzm prasy radzieckiej wobec Porozumienia Gdańskiego i niewypowiedziana groźba inwazji powinny na dłuższą metę być wystarczającą groźbą dla popchnięcia przywódców polskich do wycofania się z porozumień. Obietnice radzieckiej pomocy ekonomicznej dla Polski osładzają tę pigułkę i zwiększają środki nacisku Moskwy.

Ale wszyscy eksperci są zgodni, że najważniejsze jest pytanie co się stanie, jeśli próba wycofania się z porozumień nie powiedzie się? Niektórzy specjaliści uważają, że przywódcy na Kremlu sami jeszcze tego nie wiedzą, ponieważ kolejne posunięcia radzieckie będą musiały być odpowiedzią na - jak dotąd niemożliwe do przewidzenia - wydarzenia w samej Polsce i w innych częściach Europy Wschodniej. Spośród wszystkich państw satelickich Polska stawiałaby prawdopodobnie najbardziej krwawy opór inwazji radzieckiej, a pozostałe narody Europy Wschodniej stwarzają z innych powodów wyjątkowo niepokojące problemy dla Moskwy. Z powodu swego położenia Niemcy Wschodnie mają mniejszą, niż którekolwiek z państw satelickich możliwość powstrzymywania dopływu zachodnich doniesień o strajkach w Polsce. Obserwatorzy uważają, że gdyby niepokoje objęły Niemcy Wschodnie, Rosjanie mogą podjąć decyzję interweniowania tam a jednocześnie powstrzymania się przed wejściem do Polski.

Nawet jeśli reszta Europy Wschodniej pozostanie spokojna, jest aż nadto wiele perspektyw gwałtownego wymknięcia się sytuacji w Polsce z pod kontroli. Ośmielone sukcesem robotników inne ważne siły społeczne w Polsce - uczeni, artyści, nauczyciele, studenci - szukają już dróg rozluźnienia kontroli partii nad ich własnymi organizacjami. To jest właśnie ten rodzaj zarazy, który jest powodem sennych koszmarów teoretyków "najgorszego przypadku rządzących na Kremlu, i który mógłby popchnąć ich do interweniowania zanim "zgnilizna" w Polsce rozszerzy się zbyt daleko. Dla Moskwy jest to hobsonowski wybór. Nierobienie niczego ośmiela żądań o więcej ustępstw. Ale wycofywanie się z porozumień niesie ryzyko wywołania dalszych strajków. Jest mało prawdopodobne, aby robotnicy zaakceptowali biernie jakiekolwiek złamanie Porozumienia Gdańskiego. Z drugiej strony - jak pewien dyplomata w Moskwie ostrzega - "Jeśli robotnicy zastrajkują znowu, tylko patrzeć jak czołgi radzieckie wkroczą."

Specjaliści od spraw Europy Wschodniej powiadają, że nie można wykluczyć kompromisu, w ramach którego pewne ustępstwa zostaną wycofane, inne dotrzymane i Polska uspokoi się, być może na całe lata. Rezygnacja Edwarda Gierka dała być może trochę czasu Związkowi Radzieckiemu. Jego następca, Stanisław Kania może mieć więcej powodzenia niż miałby go Gierek w powolnym wprowadzaniu w życie wycofywania się z porozumień, o które zabiega Kreml. Chociaż Rosjanie rozpaczyliwie pragną uniknąć wejścia do Polski, zasadniczym problemem dla Moskwy jest to, że zaczęli jej brakować możliwości wyboru jeśli próba wycofania się z porozumień zawiedzie. Rosjanom pozostałyby wtedy tylko trzy możliwości, i to wszystkie trzy z ich punktu widzenia niedobre: zainstalowanie w Polsce bardziej represyjnego reżimu, który mógłby sprowokować robotników do krwawej rewolty - albo inwazja - albo pogodzenie się z chaosem.

Być może najbardziej intrygującym - i niebezpiecznym - aspektem polskiego kryzysu jest to, że elementem krytycznym nie są już dłużej robotnicy, ale problemy ekonomiczne, które zrodziły strajki. Długie prze-

stoje w pracy pogłębiły tylko ten kryzys. Władze polskie słusznie postąpiły wprowadzając przedsięwzięcia oszczędnościowe dla rozwiązania trudności gospodarczych. Ale ożywiona społeczność robotnicza z nowymi uprawnieniami do strajku, ma teraz silniejszą pozycję przy przeciwstawianiu się zaciskaniu pasa. Mówiąc krótko: nowe swobody polityczne będą prawdopodobnie działać przeciw obecnym gospodarczym priorytetom Polski. To zwiększy tylko brak stabilności i spowoduje, że Moskwie będzie trudniej trzymać ręce z dala od Polski.

Podobnie jak w 1968, kiedy inni wschodnioeuropejscy klienci przyłączyli się do radzieckiej inwazji na Czechosłowację, Rosjanie już czynią przygotowania na wypadek, gdyby wspólna operacja wojskowa okazała się w Polsce potrzebna. Moskwa narzeka na rzekomy udział Zachodu w polskich niepokojach, ten sam pretekst, który posłużył dla usprawiedliwienia wkroczenia żołnierzy do Pragi. I znowu, jeśli dojdzie do zwarcia, Kreml może prawdopodobnie liczyć na lojalność innych rządów wschodnioeuropejskich. One także są zaniepokojone tym, że załamanie się komunistycznej kontroli w Polsce zagroziłoby stabilności ich własnych reżimów.

Il Mondo, 5.IX.1980 r.

NIEDZWIEDZIOWI POD NOSEM

Dynamikę obecnych strajków w Polsce nietrudno wyjaśnić. Mając 19.4 miliardów dolarów długu za granicą /dane z 1979/, rząd w Warszawie nie jest absolutnie w stanie przeznaczyć 20% rocznego budżetu na dopłacanie do żywności. Początkowo próbowano więc utajonej podwyżki cen, tworząc sieć "sklepów komercyjnych", sprzedających towary lepsze, ale też o wiele droższe /o 50 do 100%/. Następnie 1 lipca, tłumacząc się złą w tym roku pogodą i nieurodzajem, Babiuch - mianowany premierem właśnie w przewidywaniu podwyżki cen - polecił podwyżkę cen mięsa /o 20 do 100% w zależności od gatunku/.

Mięso, które w Polsce je się przecież niemal co dzień, stało się w ostatnich latach czymś w rodzaju sztandaru narodowego, trochę podobnie jak "zbuntowany" katolicyzm. Jenocześnie rząd podwyższył płace o 12-20% co częściowo kompensowało podwyżkę cen, mając nadzieję, że będzie spokój. Był to jednak błąd. Wraz z pierwszymi strajkami stało się jasne, że stopa życiowa gwałtownie się obniżyła. I chociaż rząd obiecywał podwyżki najniższych płac, robotnicy zamiast to przyjąć, dodali do swych dotychczasowych postulatów dalsze żądania, już o charakterze politycznym. Domagali się m.in. ponownego przyjęcia do pracy Anny Walentynowicz, dźwigowej, zwolnionej z pracy w stoczni im. Lenina w Gdańsku za działalność na rzecz niezależnego ruchu związkowego. Robotniczy protest stał się jednak przede wszystkim czymś w rodzaju pośredniego, zamaskowanego wystąpienia antyradzieckiego: Moskwę czyni się odpowiedzialną za całe zło, które gnębi kraj.

To prawda, że wojskowe awantury radzieckie, np. w Afryce i Afganistanie, stale opłacają europejscy satelici ZSRR. To prawda, że Kreml jako ścisłe kierownictwo RWPG znacznie ogranicza rozwój ekonomiczny swych sojuszników. Ale obiektywnie rzecz biorąc Polskę gnębią jej niegodni tego miana przywódcy. I to nie zależy od ZSRR. Skuteczna terapia wymagałaby środków i reform nie dających się pogodzić z ustrojem socjalistycznym, a zatem musiałaby naruszyć blok radziecki.

Gdyby władze polskie przywróciły poprzednie ceny, stałoby się to kosztem powiększenia zagranicznego długu, zwiększyłoby inflację /wynosiła ona w r. 1979 6,7%/ i uniemożliwiłoby dofinansowanie i rozbudowę różnych działów gospodarki, przede wszystkim rolnictwa. 80% polskiego rolnictwa pozostaje jeszcze w rękach prywatnych, a ok. 35% ludności zajmuje się rolnictwem - liczba na stosunki zachodnie wręcz niedorzeczna. Mimo to import zboża z Zachodu wzrósł z 6 mln t. w r. 1978 do 10 mln t. w r. 1979. I nawet w dalszej przyszłości nie przewiduje się racjonalizacji rolnictwa, gdyż naruszenie chłopskich poletek z pewnością oznaczałoby w Polsce prawdziwe powstanie antykomunistyczne.

Sytuacji nie poprawia energetyka. Dzięki pokładowi węgla kamiennego

i brunatnego /139 mln t. - równoważnik ropy naftowej/ Polska ma jeszcze dodatni bilans energetyczny, ale zapotrzebowanie na ropę naftową wzrasta, a ZSRR - wielki jej dostawca - zamierza zakręcić kurki. Polska musiała więc niedawno zawrzeć umowę z Iranem na zakup ropy naftowej po cenach OPEC, a nie po korzystnych cenach Moskwy. Oznacza to dalszy wzrost długu zagranicznego. W 1980 r. Polska będzie musiała mieć 7,1 mld dolarów: 5,24 mld na spłatę długu, a resztę na procenty. W ten sposób zostanie zużyta połowa cennej waluty uzyskanej z eksportu.

Jest to paradoksalne, ale władze w Warszawie znalazły się w tym krytycznym położeniu wskutek industrializacji, wzmożonej w latach 70-tych właśnie po to, żeby wyjść z kryzysu, który obalił Gomułkę, a przyniósł władzę Gierkowi. Inwestycje przemysłowe dały pewne rezultaty, ale niekiedy wynosiły 302 rocznego produktu narodowego brutto i wymagały ogromnych pożyczek. Tymczasem polska produkcja nie stała się dzięki nim bezkonkurencyjna. Polska eksportuje np. ok. 200 mln t. stali rocznie, ale jest to stal najgorszej jakości, natomiast stal lepszej jakości trzeba importować. Jakość produkcji tekstylnej jest również przeciętna, a więc i w tej dziedzinie - pomimo kosztownych inwestycji elektronicznych - Polska nie może stanowić konkurencji dla Zachodu. Przeciw złej jakości polskich wyrobów protestuje nawet Związek Radziecki, który zakupuje 34% polskiego eksportu /co stanowi 302 importu radzieckiego/. Polska jest dla ZSRR głównym dostawcą dóbr konsumpcyjnych.

Jeśli do tego wszystkiego dodać występowanie szarego i czarnego rynku - wskutek różnych szachrajstw towar często nie dochodzi do miejsca przeznaczenia - stanie się zrozumiałe, dlaczego, jak podają sami Polacy, produkt globalny spadł w 1979 r. o 2% i dlaczego w lipcu, po rewizji planu pięcioletniego Babiuch musiał wyznać swoim rodakom, że przewiduje w 1981 r. wzrost zerowy. Polska istotnie powinna mniej konsumować, a jak najwięcej eksportować. Ale jest to zadanie trudne, ponieważ eksport na Zachód obejmuje głównie surowce i artykuły żywnościowe, których ceny w ostatnich latach spadły, natomiast import z Zachodu obejmuje produkty gotowe, których ceny wzrosły czterokrotnie wskutek kryzysu gospodarczego lat 1973-74.

Reżim w Polsce odmawiał jakichkolwiek reform politycznych, by nie naruszyć delikatnych mechanizmów bloku radzieckiego i dlatego brnął w błędy ekonomiczne. Brak mu było wszelkich bodźców, aby gospodarka funkcjonowała lepiej i wydajniej. Wskutek tego w r. 1978 /ostatnie dane, którymi dysponujemy/ udział Polski w handlu światowym wynosił zaledwie 1,1% /eksport/ i 1,2% /import/, podczas gdy jej produkcja przemysłowa wynosiła 2,5% produkcji światowej. Powstało istotnie jakieś błędne koło i trudno by było znaleźć rozwiązanie zapraszając radzieckie oddziały wojskowe.

Czy rzeczywiście czołgi Kremla są tak blisko? W sensie technicznym - tak. W Polsce znajduje się obecnie dwie radzieckie dywizje pancerne. Są to dywizje złożone z 650 czołgów każda, a ich stan osobowy wynosi 75% poziomu wojennego. Nie trzeba też zapominać, że Polska zapewnia niezbędną łączność Armii Radzieckiej z 400 tys. ludzi w Niemczech Wschodnich, których Moskwa utrzymuje tam na wypadek bezpośredniego kontaktu z siłami NATO. Ten polski "korytarz" musi pozostać do dyspozycji. Układ rzek polskich czy różnica w szerokości torów między kolejami radzieckimi a polskimi mogłyby już dać znaczną przewagę nieprzyjacielowi w razie konfliktu w Niemczech.

Czy więc Kozacy stoją już u bram Warszawy? Z pewnością na początku strajków gdańskich, kiedy Gierek znajdował się na Krymie, by przedstawić głowie państwa radzieckiego, Leonidowi Breżniewowi, trudności Polski, Borys Ponomarew, członek Biura Politycznego KPZR oświadczył zdecydowanie, że Moskwa nie będzie tolerować żadnego "odchylenia" wewnątrz swojego bloku w Europie Wschodniej. Rosjanie bali się przede wszystkim, że agitacja robotnicza rozszerzy się na Czechosłowację - kraj znajdujący się również w trudnej sytuacji gospodarczej - i na Węgry, gdzie władze w ostatnich miesiącach były zmuszone zmniejszyć na własną rękę subwencje na rolnictwo i podwyższyć ceny artykułów żywnościowych. Jak

się wydaje jednak - i na to głównie liczy Polska - Rosjanie i tym razem jak w r. 1970 pozwolą samym Polakom przywrócić porządek we własnym domu. Rozpatruje się już nawet możliwość pożyczki w wysokości 1 mld rubli. Podobnej pożyczki udzielono Polsce w r. 1976.

Istotnie, w całym wschodnioeuropejskim bloku Polska była zawsze krajem, któremu Moskwa okazywała największą pobłażliwość. Tolerowała brak kolektywizacji rolnictwa, toleruje bardzo silny Kościół katolicki, który w momentach kryzysu występuje przeciw reżimowi komunistycznemu. Rosja, świadoma tysiącletnich związków Polski z Zachodem, w czasach hitlerowskie chciały go unicestwić fizycznie, teraz jednak zezwala na pewne ożywienie nacjonalizmu, na ściślejsze kontakty z Europą /nie tylko pożyczki, ale również wymiana turystyczna i kulturalna/. Ma tu może znaczenie to, że Polska, w przeciwieństwie do Niemiec Wschodnich, Czechosłowacji i Węgier, nie graniczy z Zachodem, a więc w mniejszym stopniu jest narażona na burżuazyjną zarazę.

Jeśli wziąć pod uwagę stuletnie tradycje wojenne Polski i II wojnę światową, kiedy tysiące jej synów walczyło na wszystkich frontach, aby przyjąć z pomocą ojczyźnie, której odmówiono prawa do niepodległego bytu, nie sposób się spodziewać, że inwazja radziecka nie napotka tu zdecydowanego oporu, inaczej niż to miało miejsce w Czechosłowacji w r. 1968. Opór ten byłby bohaterski i krótkotrwały, ale trudno by było przewidzieć jego konsekwencje nie tylko dla bloku radzieckiego, ale także dla wewnętrznego rozwoju światowego ruchu komunistycznego.

Przeciw bezpośredniej interwencji rosyjskiej w Polsce przemawia ponadto wiele innych czynników. Nie jest jeszcze zakończona wyprawa do Afganistanu. Przedłużający się opór z pewnością nie zachęca radzieckich generałów do utworzenia drugiego frontu. Determinacja islamskich górali sprawia, że armia radziecka wcale nie jest bliska zwycięstwa. Można więc przypuszczać, że i gdzie indziej na świecie ludowy ruch antyradziecki mógłby odnieść sukces. Po za tym Afganistan spowodował częściowe zerwanie ze Stanami Zjednoczonymi /embargo handlowe, bojkot Olimpiady/. Powtórzyłoby się to, i to w sposób jeszcze bardziej zdecydowany, gdyby na cel wzięta była Polska. Sam sekretarz stanu USA, Edmund Muskie jest polskiego pochodzenia, podobnie jak doradca Białego Domu do spraw bezpieczeństwa, Zbigniew Brzeziński.

A do tego w listopadzie odbędą się wybory prezydenta Stanów Zjednoczonych. Tradycyjnie w chwilach zaostrzonego napięcia międzynarodowego Amerykanie ponownie wybierają ustępującego prezydenta, a więc w tym wypadku Jimmy Cartera, nielubianego na Kremlu /który postawił na senatora Edwarda Kennedy'ego/. Gdyby tej tradycji nie stało się zadość, partnerem w rozmowach z Moskwą byłby niewątpliwie Ronald Reagan, republikanin, eks gubernator Kalifornii, zwolennik silnej ręki w polityce zagranicznej, zdecydowany przeciwstawiać się Związkowi Radzieckiemu na każdym kroku.

Choć się to może wydać dziwne, wypadki afgańskie wzmocniły pod pewnymi względami więź ZSRR z niektórymi wpływowymi krajami starego kontynentu europejskiego. Nie chcą one zostawić rosyjskiego niedźwiedzia w zupełnej międzynarodowej izolacji w obawie przed zaostrzeniem napięcia czy jakąś katastrofą. W maju, właśnie w Warszawie prezydent Valéry Giscard d'Estaing spotkał się z Breżniewem, a w czerwcu kanclerz federalny Niemiec, Helmut Schmidt został niezwykle serdecznie przyjęty w Moskwie. Dyskutowano na temat słynnych rakiet amerykańskich Pershing II oraz Cruise, które NATO /wbrew niechęci wielu krajów/ ma zainstalować w Europie w ciągu 1983 r., a których Moskwa zupełnie sobie nie życzy. Czy można by przeszkodzić ich akceptacji przez Pakt Atlantyczny, a za razem nie zerwać definitywnie z Francją i Niemcami w wypadku ataku na Polskę?

ZSRR ponadto jest zdecydowany wziąć w listopadzie udział w konferencji w Madrycie w celu weryfikacji ustaleń z Helsinek z 1975 r. w sprawie bezpieczeństwa i stosunków w Europie. Postanowienia helsińskie pozostały właściwie martwą literą, ale dla Kremla są wygodnym narzędziem wewnętrznej propagandy.

Jest wreszcie jeszcze jeden cierni dokuczający Łapom radzieckiego niedźwiedzia: od 16 października 1978 r. na tronie św. Piotra zasiada polski papież. Wprawdzie - jak to ironicznie stwierdził Stalin - papież nie rozporządza dywizjami, ale Karol Wojtyła ze swoimi rodakami mógłby znaczyć więcej niż armia.

The Guardian Weekly, 7.IX.1980 r.

MOSKWA LICZY NA BOJAZLIWA ODPOWIEDZ ZACHODU

Na początku tego tygodnia znaki z Kremla kazały przypuszczać, że Związek Radziecki miał dwuznaczne zamiary, kiedy ostrzegał Warszawę, by nie podkopywała ustroju komunistycznego. Ale w żadnym wypadku nie można mieć pewności, czy spokojniejsze poglądy na dłuższą metę wezmą w Moskwie górę. Niezdecydowanie przywódców radzieckich, jeśli istotnie ma miejsce, zdaje się świadczyć o tym, że teraz z kolei Zachód miałby sposobność przestrzec Moskwę, żeby przestała narzucać Polsce swoją wolę. Jeśli by to jednak miało odnieść jakiś skutek, musiałoby być o wiele szybsze i bardziej stanowcze niż odpowiedź /lub brak odpowiedzi/, nad którą się obecnie zastanawiają przywódcy na Zachodzie.

Czy byłoby to igranie z ogniem? Moskwa z pewnością by chciała, żeby Zachód w to uwierzył, i to właśnie zamierzała mu dać do zrozumienia "Prawda" w swym wielowarstwowym artykule. Oto pierwsza jego warstwa: Moskwa oskarżając "zachodnie ośrodki dywersyjne", że usiłują obalić komunizm w Polsce, zwraca Zachodowi uwagę, że byłaby gotowa podjąć wszelkie konieczne kroki, by zapobiec takiemu niebezpieczeństwu. O tym, że to oskarżenie jest śmieszne, nikt ani tu ani tam nie wątpi.

Inna warstwa: Moskwa zwraca się do polskich robotników, żeby im powiedzieć, że ich żądania zagrażają interesom państwa polskiego, przez co w kontekście tego artykułu można rozumieć wogóle przetrwanie państwa.

I jeszcze jedna warstwa: "Prawda" powiedziała komunistycznemu kierownictwu w Polsce, że Gierek ulegając żądaniom robotników wszedł na tę samą śliską drogę, która Dubczeka doprowadziła do zguby. Ta oficjalna wypowiedź wzmocniła ostrzeżenie, że Związek Radziecki będzie zmuszony do działania, ostrzeżenie, które Moskwa zapewne w ostrzejszych słowach sformułowała w rozmowach bezpośrednich.

Najgłębsza warstwa była przeznaczona dla własnego społeczeństwa: chodziło o pobudzenie jego uczuć patriotycznych przeciw sąsiadowi, dla którego Rosjanie nigdy nie mieli wiele sympatii.

Wypowiedź tak złożona i tak brzemenna w potencjalne konsekwencje mogła być sformułowana jedynie po gruntownej dyskusji i z aprobatą Biura Politycznego. Przez dwa miesiące, podczas których polski kryzys z dnia na dzień stawał się groźniejszy, Kreml zachowywał spokój.

Najpierw Gierek został odesłany do Warszawy ze swych radzieckich "wakacji" i zapewne wówczas ustalił z przywódcami ZSRR granice dopuszczalnych ustępstw, mając poczucie, że cieszy się ich zaufaniem. Kiedy pierwsza część tych ustępstw okazała się niewystarczająca, Gierek wybrał się znów na jednodniową wycieczkę do Rosji i uzyskał zezwolenie Kremla dane najwidoczniej bardzo niechętnie na usunięcie z Biura Politycznego niektórych zwolenników twardego kursu i powołanie na ich miejsce zwolenników reform. Kiedy jednak robotnicy nie chcieli się zadowolić dymisją owych kozłów ofiatnych, wicepremier Jagielski w środku ubiegłego tygodnia wyraził, przynajmniej w zasadzie, zgodę na większość ich żądań. Powiedział im, że musi pojechać do Warszawy, by uzyskać oficjalną aprobatę kierownictwa, ale następnego dnia wróci i podpisze porozumienie. W rezultacie zabrakło mu to dwa dni, których było trzeba na próby uzyskania aprobaty Moskwy na decyzje gdańskie.

Sugeruje się teraz, że artykuł w "Prawdzie" musiał być napisany pod koniec tygodnia, zanim w niedzielę podpisano w Gdańsku porozumienie i że salwy moskiewskiej nie należy uważać za przemyślany pogląd Kremla w tej sprawie. Ale Moskwa doskonale знаła przecież warunki proponowanego porozumienia na wiele dni przed jego podpisaniem, ponieważ zgodziło się już na nie kierownictwo polskie, a ich zasadnicza treść nie mogła być zatajona przed Kremlem.

Kiedy więc Moskwa nadała w niedzielę w nocy streszczenie artykułu w poniedziałkowej "Prawdzie", uczyniła to, by uświadomić światu, że jest to ważne oświadczenie polityczne, bo w ten właśnie sposób rozpowszechnia się tylko ważne wypowiedzi polityczne.

Jego sens był całkiem prosty: porozumienie jest nie do przyjęcia, ponieważ stanowi ważny krok na drodze ku pluralizmowi, najpierw w Polsce, a potem w pozostałych krajach bloku radzieckiego. Należy więc je odrzucić. W przeciwnym razie Związek Radziecki musi podjąć odpowiednie kroki, by zapobiec szerzeniu się zarazy, nawet jeśli to wymagało interwencji zbrojnej.

Czyż więc "Prawda" bluffowała? Czy Kreml chciał wywołać grozę powołując się na doktrynę Breżniewa, zgodnie z którą uzurpuje sobie prawo wkroczenia do podporządkowanych mu krajów, by zapobiec obaleniu tam "socjalizmu", czy też gniew "Prawdy" miał na celu skłonienie Polaków do wycofania się, dzięki czemu dalsze posunięcia ZSRR stałyby się zbędne? To że Moskwa miała jakieś podwójne zamiary, nasuwa się dlatego, że artykuł "Prawdy" nie został przez radzieckie środki przekazu potraktowany tak, jak traktuje się tu zwykle ważne oświadczenia - są one jeszcze przed drukiem przekazywane przez radio wielokrotnie, nadawane w audycjach obcojęzycznych. Jednym słowem bardzo eksponowane. Zupełnie inaczej stało się w tym wypadku. Stąd wniosek, że po pierwszym nadaniu orędzia "Prawdy", podjęto decyzję, by tłumaczyć oddziaływanie tego artykułu. Ale ponieważ jego treść wskazywała na to, że komentarz "Prawdy" został sformułowany na szczeblu Biura Politycznego, decyzja o jego wytłumieniu musiała być podjęta na równie wysokim szczeblu. Ponieważ ani Zachód, ani Warszawa nie miały czasu zareagować na ten artykuł, przyczyny zmiany trzeba szukać w Moskwie.

Artykuł w "Prawdzie", niezależnie od "podskórnych" zamiarów Moskwy stanowi kluczowy element sytuacji. Tendencja niektórych stolic Zachodu do uważania go za łagodniejszy, niż jest w rzeczywistości, to objaw "po-bożnych" życzeń, które raz już doprowadziły do przekonania, że Związek Radziecki nie wkroczy do Czechosłowacji. To manifestowana przez większość krajów zachodnich niewiara w możliwość inwazji zachęciła Moskwę do decyzji.

Jeśli zamiast czekać na inwazję, państwa Zachodu wyraźnie uświadomią Kremlowi cenę, jaką by musiał za nią zapłacić, jest jeszcze szansa, że będzie się z tym liczył.

Radzieccy przywódcy są teraz zaabsorbowani walką o spadek po scho-rowanym i sędziwym Breżniewie oraz zaniepokojeni gwałtownym zwolnieniem tempa rozwoju radzieckiej gospodarki, pomyślą więc dwa razy, zanim narażą Związek Radziecki na mroźne powiewy zimnej wojny, która by mogła nastąpić po inwazji na Polskę.

Ala jeżeli Zachód będzie się nadal zachowywał tak niezdecydowanie jak dotychczas, radzieccy zwolennicy twardego kursu będą mogli twierdzić że interwencja w Polsce to jedyny pewny sposób, żeby uniknąć obalenia ustroju komunistycznego, jeśli nie jedyna w ogóle droga jego ocalenia.

⌘

SPIS RZECZY

Aby przeżyć	str. 1
Zmiany o trwałych konsekwencjach	" 2
Rysa w monolocie	" 3
Już za długo mówiliśmy do ściany	" 4
Strajki zmieniają nieodwracalnie życie w Polsce	" 6
Człowiek, który wstrząsnął fundamentami systemu	" 8
Tu przecież nikt nawet nie pisnie	" 11
Następne posunięcie Kremla	" 12
Niedźwiedziowi pod nosem	" 14
Moskwa liczy na bojaźliwą odpowiedź Zachodu	" 17